„Truth” jako znak drogowy: reportaż o nowej prawicy

AUTOR

Fundacja Dobre Państwo

STRESZCZENIE / ABSTRACT

Artykuł stanowi głęboki reportaż poświęcony fenomenowi nowej prawicy, której symbolem stało się hasło „Truth”. Centralną postacią analizy jest Vivek Ramaswamy, polityk dążący do redefinicji współczesnego konserwatyzmu. Tekst bada fundamenty jego programu: odwołanie do prawa naturalnego, ścisłe przestrzeganie Konstytucji oraz walkę z tzw. „czwartą gałęzią rządu”, czyli rozrośniętą administracją państwową. Autor przygląda się, jak postulaty dotyczące biologicznej płci, suwerenności granic czy nacjonalizmu obywatelskiego stają się twardymi punktami odniesienia w nowej debacie publicznej. To opowieść o polityce opartej na danych i odwadze głoszenia niepopularnych prawd, która rzuca wyzwanie dotychczasowemu status quo w zarządzaniu państwem i strukturą społeczną.

This article is an in-depth reportage on the phenomenon of the new right, symbolized by the slogan "Truth." The central figure of the analysis is Vivek Ramaswamy, a politician striving to redefine contemporary conservatism. The text examines the foundations of his platform: an appeal to natural law, strict adherence to the Constitution, and the fight against the so-called "fourth branch of government," the bloated state administration. The author examines how postulates regarding biological gender, border sovereignty, and civic nationalism are becoming firm points of reference in the new public debate. This is a story about data-driven politics and the courage to speak unpopular truths, challenging the status quo in state governance and social structure.

Artykuł analizuje strategię komunikacyjną Viveka Ramaswamy'ego, kandydata na prezydenta USA, koncentrując się na jego wykorzystaniu prostych, fundamentalnych prawd i sloganów jako narzędzi politycznego perswazji. Autor dekonstruuje poszczególne hasła, takie jak "Bóg jest prawdziwy", "Odwrócony rasizm jest rasizmem" czy "Konstytucja to instrukcja obsługi państwa", ukazując ich rolę w budowaniu konserwatywnej tożsamości i wyznaczaniu granic

władzy państwowej. Ramaswamy wykorzystuje te hasła nie tylko do mobilizacji zwolenników, ale również do wywoływania dyskusji na temat kluczowych wartości i zasad ustrojowych. Autor analizuje również intelektualne zaplecze strategii Ramaswamy'ego, odwołując się do teorii perswazji, psychologii społecznej i filozofii politycznej. Artykuł pokazuje, jak proste slogany, osadzone w głębokim zrozumieniu mechanizmów społecznych i zbiorowej pamięci, mogą stać się potężnym narzędziem w rękach polityka, który pragnie zdefiniować na nowo zasady gry.

SŁOWA KLUCZOWE

Truth | Vivek Ramaswamy | nowa prawica | prawo naturalne | koszt krańcowy | doktryna major questions | nacjonalizm obywatelski | konstytucjonalizm | success sequence | czwarta gałąź rządu | płeć biologiczna | zarządzanie ryzykiem | zasada pierwszego bezpiecznego kraju | równa ochrona prawna | granice władzy

Performans prawdy: manifest polityczny Ramaswamy’ego

Na sali panuje tłok, choć nikt nie pcha się na scenę. Z sufitu spogląda na nich pojedyncze słowo, białe litery na czarnym tle: TRUTH. Jest ono tak wielkie, że przypomina bardziej szyld warsztatu mechanicznego niż subtelny slogan kampanijny. W tym kadrze Vivek Ramaswamy buduje prostą obietnicę: konserwatyzm, który nie wstydzi się własnego głosu, ma wrócić do języka prawdy, a nie wyłącznie reakcji. Jego zawołanie „mów prawdę bez strachu” nie jest tylko autopromocją. Błyskawicznie stało się rekwizytem, który fani noszą na koszulkach, a dziennikarze opisują jako motyw przewodni jego wystąpień. W relacjach agencyjnych widzimy, jak słowo „TRUTH” przechodzi z baneru w cały ekosystem bodźców, stając się koszulką, tabliczką i refrenem w odpowiedziach na pytania o 11 września czy cenzurę podczas pandemii. Mówienie prawdy staje się performansem, a nie tylko deklaracją.

Ramaswamy wprowadza do dyskusji najpierw książkę „Truths: The Future of America First”, a dopiero potem całą serię wystąpień i formatów medialnych. W opisie wydawcy jest to plan „ratowania Ameryki” poprzez nazywanie rzeczy po imieniu, skrystalizowany w dziesięciu zdaniach, które mają być zarazem oczywiste i kontrowersyjne. To właśnie ten dualizm uruchamia paradoks napędzający całą machinę. Im prostsze i bardziej fundamentalne są tezy, tym ostrzejszy i bardziej spolaryzowany staje się spór o ich faktyczny sens.

Bóg i polityka: teologiczny fundament państwa

Sala zamiera, gdy pada zdanie proste i ciężkie jak kamień węgielny: „Bóg jest prawdziwy”. To nie jest manifest teologiczny ani próba narzucenia partyjnej religii. To raczej gest reżyserski, nagłe odwrócenie kamery z politycznej sceny na jej fundamenty. Zanim bowiem zaczniemy dyskusję o państwie, musimy wskazać źródło prawa. Amerykańska wyobraźnia polityczna od samego początku rezonuje z tą ideą: prawa człowieka są niezbywalne, ponieważ nie zostały nadane przez rządzących. Najważniejszy skutek tej deklaracji nie jest więc religijny, lecz ustrojowy. Wolność słowa, kultu czy zrzeszania się nie jest łaskawą koncesją administracji, ale tarczą, której nie może przebić żadna, nawet najbardziej oburzona większość. W kulturze sporu, rozproszonej na tysiące detali, to hasło-metaprawo zbiera emocje w jeden punkt odniesienia. Publiczność dostaje uziemienie, zanim jeszcze rozpocznie się technika polityczna.

Ta fundamentalna prawda ma również swoją świecką wersję, o której mówi się rzadziej. Nawet dla tych, którzy nie podzielają metafizycznych założeń, działa ona jak potężne przypomnienie o granicach władzy państwowej. Staje się wspólnym językiem pluralizmu, zrozumiałą dla wszystkich zasadą, że rząd nie jest wszechmocny. Ramaswamy świadomie umieszcza ją na czele swojej listy, by ostatni punkt – o Konstytucji – nie brzmiał jak suchy fragment podręcznika prawa. Staje się on logiczną kontynuacją. Skoro istnieją nienaruszalne prawa, to potrzebne jest narzędzie zdolne temperować zapędy większości. Tym narzędziem jest właśnie ustawa zasadnicza. Między deklaracją „Bóg jest prawdziwy” a obietnicą „Konstytucja nas chroni” rozciąga się logiczna szyna, po której toczy się cała ta polityczna opowieść.

Gdyby chcieć streścić tę ideę w haśle na koszulkę, brzmiałoby ono prosto: „Nie ustanawiamy religii. Ustanawiamy granice władzy”. To sedno sprawy. Warto przy tym dla porządku wpleść definicję. Prawem naturalnym nazywamy bowiem ten zbiór norm i uprawnień, które obowiązują nie dlatego, że zostały przegłosowane, lecz dlatego, że wynikają wprost z godności osoby ludzkiej. To prawo, które istnieje przed parlamentem i ponad nim.

Realizm energetyczny: koniec dogmatów klimatycznych

Jeśli konserwatywne wiece mają dziś swój lejtmotyw, jest nim słowo, które pulsuje na telebimach: „oszustwo”. Vivek Ramaswamy używa go jednak nie po to, by prowadzić spór z termometrem, lecz by uderzyć w cały arsenał narzędzi politycznych, które obrosły hasło „klimat”. Pod powierzchnią tego buntu kryje się fundamentalny spór o metodę zarządzania ryzykiem. Czy należy regulować wszystko centralnie i natychmiast, obiecując mglistą korzyść w odległej przyszłości? Czy może raczej chłodno liczyć koszty krańcowe, stawiać na adaptację, infrastrukturę i innowacje, a moralny imperatyw zamienić na twardy rachunek ekonomiczny?

W tej debacie kryje się też ważna lekcja dla prawicy, jeśli chce pozostać formacją przywiązaną do faktów. Nie wystarczy bowiem publicystyczne oburzenie na dyrektywy ESG ani satysfakcja z faktu, że śmiertelność z powodu katastrof pogodowych w długim okresie spadła. Trzeba zacząć mówić językiem ubezpieczycieli i analityków ryzyka: jak precyzyjnie wyceniać szkody w infrastrukturze, jak kalkulować premie za ryzyko w budżecie państwa i które inwestycje w adaptację przynoszą najwyższy zwrot. To właśnie odróżnia politykę publiczną od felietonu. Kiedy na scenie pada hasło „to oszustwo", tłum słyszy bunt przeciwko moralizatorskiemu tonowi korporacyjnych prezentacji. Ekspert powinien natychmiast dopowiedzieć: nie odrzucamy meteorologii, odrzucamy dyscyplinę bez rachunku.

Slogan, który niesie tę argumentację, brzmi jak instrukcja obsługi debaty: „Mniej moralnych nakazów, więcej tabel ryzyka". Porządkuje ją zaś definicja z gatunku niezbędnych. Koszt krańcowy redukcji emisji, czyli dodatkowy wydatek poniesiony na usunięcie ostatniej, najtrudniejszej jednostki zanieczyszczeń, jest miarą racjonalności. Każda polityka, która ignoruje ten wskaźnik, nieuchronnie zmienia się w kazanie.

Szczelna granica: fundament suwerenności państwa

W konserwatywnym myśleniu granica to nie tyle mur, co brama z portiernią. Jej sprawność zależy od trzech czynników: szybkości procedur, precyzji kryteriów i przewidywalności decyzji. Kiedy na świecie setki milionów ludzi są gotowe do migracji, każdy system oparty na jednostkowych historiach i doraźnych gestach musi upaść, ponieważ nie da się go skalować. Ramaswamy proponuje prostą hierarchię wartości: bezpieczeństwo narodowe i tożsamość obywatelska mają pierwszeństwo przed wskaźnikami makroekonomicznymi. Nie dlatego, że wzrost PKB jest bez znaczenia, ale dlatego, że gospodarka pozbawiona granic przestaje być gospodarką konkretnej wspólnoty.

Reporterski kadr odsłania kolejną scenę. Historia azylowa staje się teatrem, w którym definicja „pierwszego bezpiecznego kraju" rozciąga się jak guma do żucia. Sprawne państwo musi robić trzy rzeczy jednocześnie. Po pierwsze, prowadzić detencję zgodną z prawem i ludzką przyzwoitością. Po drugie, filtrować wnioski na podstawie faktów, a nie sentymentalnej retoryki. Po trzecie, wdrożyć logiczny system punktowy dla legalnej imigracji, który nagradza kompetencje, znajomość języka i zdolność do integracji. W tym ujęciu „otwarta granica" oznacza po prostu brak kryteriów i paraliż decyzyjny, a nie duży ruch na przejściach.

Slogan nie potrzebuje fanfar: „Granica to system usług publicznych. Zaprojektuj go". Definicja, która wymaga dopowiedzenia, jest tylko pozornie sucha. Zasada „pierwszego bezpiecznego kraju", czyli wymóg ubiegania się o ochronę w państwie, do którego dotarło się najpierw po ucieczce, ma przerwać łańcuch zjawiska znanego jako „forum shopping". Jej celem jest odróżnienie autentycznej ucieczki przed prześladowaniem od migracji ekonomicznej. To fundament, bez którego cały system traci sens.

Biologia w prawie: ochrona binarnego podziału płci

Żadne inne zdanie z tej listy nie rozgrzewa studia telewizyjnego tak skutecznie. Biologia odpowiada na nie niemal natychmiast: chromosomy XX i XY to domyślna matryca reprodukcji. Polityka publiczna reaguje znacznie wolniej, bowiem w wielu sektorach konsekwencje tej prawdy wymagają niezwykle skomplikowanych regulacji. W sporcie chodzi o ważenie szans i sprawiedliwości rywalizacji; w więziennictwie o bezpieczeństwo i godność osadzonych; w medycynie dziecięcej o żelazne standardy dowodowe i zasadę ostrożności. Jeśli konserwatyzm chce przekonać nieprzekonanych, musi porzucić ton „oczywistości" na rzecz tonu „procedury". Musi zamienić siłę memu na język troski zawarty w rozporządzeniu.

Polityk pokroju Ramaswamyego celowo unika takiej kazuistyki, ponieważ jego celem jest budowa ogólnej ramy, a nie rozwiązywanie szczegółowych dylematów. Dziennikarstwo analityczne ma jednak obowiązek rozdzielić te poziomy i wyłożyć metodę. Uznanie faktów biologicznych nie znosi bowiem obowiązku ochrony mniejszości przed przemocą czy wykluczeniem; ochrona mniejszości nie uprawnia z kolei do negowania faktów biologicznych. Oba te zdania są prawdziwe jednocześnie i w tym właśnie punkcie spór wymaga więcej pokory niż odwagi.

Ten krótki slogan brzmi zatem jak prośba o konkretną metodę pracy: „mów krótko, ale projektuj długo". Pomocna okazuje się tu prosta definicja, która rozdziela dwa porządki. Płeć w sensie biologicznym odnosi się do cech anatomiczno-genetycznych, podczas gdy „gender", pojęcie z socjologii, opisuje role, normy społeczne i autoidentyfikację. Pomylenie tych porządków nie jest jedynie błędem językowym – ono w prostej linii prowadzi do tworzenia złego prawa.

Sądowa kontrola: koniec dominacji biurokracji

To jest punkt, w którym reportaż z wiecu zamienia się w kronikę ustrojową. Slogan „są trzy gałęzie rządu, nie cztery" celuje w tak zwaną „czwartą gałąź", czyli gąszcz federalnych agencji. Przez dekady otrzymywały one od Kongresu szerokie upoważnienia, a sądy, kierując się doktryną deference, czyli zasadą domniemania kompetencji, akceptowały ich interpretacje. W ostatnich miesiącach ta logika została odwrócona. Sędziowie zaczęli mówić językiem konstytucyjnego literalizmu: jeśli sprawa ma wielką wagę dla gospodarki, nie wystarczy ogólna klauzula. Agencja musi wskazać wyraźny mandat ustawowy, a gdy go nie ma, inicjatywa wraca do suwerena: ustawodawcy i sądów.

Ramaswamy słucha tej diagnozy, dziękuje i dopowiada. Dokończmy tę pracę decyzją polityczną, niech władza wykonawcza sama cofnie dekady regulacyjnej nadprodukcji, a rozbudowana administracja przestanie być państwem w państwie. Dla przyszłości projektu „America First" jest to prawda kluczowa, ponieważ

tworzy warunki brzegowe dla wszystkich innych działań. Wielkie reformy – klimatyczne, finansowe, zdrowotne – będą musiały być pisane jako ustawy, a nie jako ambicje urzędników. To spowalnia polityczny spektakl, ale wzmacnia jego legitymację. Reporter, który wiele widział, powie bez ironii: nuda procedury jest ceną wolności.

Całość brzmi jak toast konstytucjonalisty: „Wracamy do instrukcji obsługi państwa". Definicja, którą warto zapamiętać, jest przy tym niezwykle krótka. Doktryna major questions, czyli zasada wymagająca jasnego upoważnienia ustawowego do regulacji o wielkim ciężarze gospodarczym, w praktyce oddaje inicjatywę Kongresowi i ogranicza urzędniczą twórczość.

Rodzina nuklearna: stabilizator ładu publicznego

Jeśli ktoś wyobraża sobie ten fragment programu jako moralizatorski wykład o obyczajach, całkowicie mija się z istotą sporu. W słowniku nowej prawicy „rodzina nuklearna" nie jest figurą z sepiowej fotografii, lecz najtańszą kuźnią społecznego porządku. To w niej uczysz się, czym jest zobowiązanie rozciągnięte w czasie; to tu pojmujesz, że reguły gry nie są arbitralnym kaprysem, lecz niewidzialną infrastrukturą wspólnoty. Ekonomia, nawet w swoim laickim, empirycznym wydaniu, potwierdza tę diagnozę. Prywatne instytucje wychowują taniej niż państwowa biurokracja, a stabilny dom to polisa ubezpieczeniowa obniżająca koszty przyszłych interwencji publicznych. Kiedy Ramaswamy mówi o „success sequence", nie dyryguje niczyim życiem, lecz proponuje przewidywalny wzorzec: najpierw edukacja, potem praca, potem małżeństwo, a dopiero na końcu dzieci. Reporter widzi, jak słuchacze kiwają głowami – nie z miłości do sloganów, lecz dlatego, że rozpoznają w tym logikę własnego instynktu. Polityka, która traktuje tę prawdę serio, przestaje premiować „klifowe" świadczenia zniechęcające do małżeństwa, a zaczyna budować podatkową neutralność wobec życiowych decyzji. Chodzi o to, by państwo przestało wyrywać tryby z rodzinnej przekładni, a zaczęło smarować mechanizm tam, gdzie zgrzyta.

W tej dyskusji niezbędne jest jedno rozróżnienie, bez którego grzęźniemy w jałowych emocjach. Kultura może z powodzeniem czcić różnorodność życiowych ścieżek, podczas gdy prawo jednocześnie projektuje bodźce, które nie karzą stabilności. Nie ma żadnej sprzeczności między szacunkiem dla indywidualnych wyborów a chłodnym rachunkiem społecznym. Istnieje tylko wybór: czy polityka publiczna będzie mądrą inżynierią zachęt, czy też stanie się moralnym teatrem, za który ostatecznie płacą najbiedniejsi.

Merytokracja: alternatywa dla doktryny antyrasizmu

„Odwrócony rasizm jest rasizmem" – to zdanie brzmi jak prowokacja, bo burzy elegancki spokój języka, którym próbuje się naprawiać dziejowe krzywdy. Ideologia „naprawcza" podpowiada prostą logikę: skoro

przeszłość raniła, teraźniejszość powinna faworyzować. Na to jednak odpowiada Konstytucja, przypominając, że prawo nie jest rachunkiem sumienia, lecz narzędziem równej ochrony każdej jednostki. Spór nie toczy się więc o szlachetność intencji, ale o brutalne skutki. Polityka rasowego uprzywilejowania, choć prezentowana jako czułość systemu, zbyt często produkuje „miękką bigoterię niskich oczekiwań" – cichy sygnał, że nie wierzymy w czyjąś sprawczość bez specjalnej protezy. To nie jest publicystyczna teza, lecz obserwacja z uniwersytetów, które po wyrokach ograniczających akcję afirmatywną próbują przywrócić ją tylnymi drzwiami. Każdy, kto zna te kampusy, rozumie coś jeszcze: w przestrzeni, gdzie deklaracje o różnorodności zastępują twarde dane, najbardziej poszkodowany bywa nie ten, komu obiecano pomoc, lecz ten, którego sukces na zawsze skojarzono ze stygmatem „niższych progów".

W tym chaosie pojęć przydaje się definicja, która przywraca porządek. Równość wobec prawa, czyli anglosaska zasada equal protection, wcale nie znosi polityk wyrównawczych, o ile celują one w realne bariery: dochód, kod pocztowy czy jakość szkoły podstawowej, a nie w rasę jako taką. Kiedy przenosimy ciężar interwencji z koloru skóry na warunki startu, zaczynamy leczyć przyczynę choroby, zamiast tworzyć nowy katalog ran. Hasło „nie dyskryminujmy w imię walki z dyskryminacją" nie jest pustym sofizmatem. To fundamentalne przypomnienie, że państwo nie powinno dzielić obywateli według cechy, której nie można wybrać, zmienić ani się jej wyrzec.

Wspólne wartości: model nacjonalizmu obywatelskiego

W Europie słowo „nacjonalizm" przywołuje duchy z pól bitewnych; w Ameryce, w swojej najlepszej wersji, otwiera podręcznik dla obywatela. Ramaswamy proponuje właśnie taką amerykańską instrukcję obsługi debaty: lojalność wobec porządku konstytucyjnego, a nie wobec genealogii. W praktyce ten obywatelski kontrakt opiera się na trzech filarach. Po pierwsze, jasne kryterium przynależności – obywatelstwo to nie amorficzna mgła, lecz świadoma decyzja i jej etyczne konsekwencje. Po drugie, rytuał inicjacyjny, w którym test i przysięga nie są biurokratyczną zaporą, lecz symbolicznym aktem o potężnej wadze pedagogicznej. Po trzecie, przejrzystość: lider nie może grać na dwa paszporty, gdyż w godzinie próby lojalność staje się matematycznie niepodzielna. W tym świetle „America First" przestaje być reakcyjnym sloganem, a staje się szkołą obywatelskiej tożsamości, która nie pyta o krew, lecz o gotowość do stania się częścią „my".

Definicja zamykająca spór jest celowo mniej poetycka niż sztandar: nacjonalizm obywatelski to wspólnota reguł, w której przynależność warunkuje lojalność wobec konstytucji i prawa, a nie rasa, wyznanie czy pochodzenie. Bo gdy historia, która zawsze w końcu puka do drzwi, postawi nas pod murem, liczyć się będzie tylko to, kto stoi ramię w ramię pod wspólną flagą, a nie to, skąd przybył jego pradziadek.

Prawo do pytań: mechanizm obronny wolności słowa

Prawda jest odtrutką. Po latach, w których internetowe agory zmieniły się w labirynty podejrzeń, i po pandemicznych zwarciach na linii rząd–platformy–obywatele, prawo do zadawania pytań stało się fundamentem zdrowej debaty. Ramaswamy nie namawia, by wierzyć w każdą teorię, lecz by otwierać okno, gdy w pokoju robi się duszno od niedomówień. Od dziennikarza wymaga wówczas jednej cnoty: trzymania się standardu dowodowego. Pytanie to nie oskarżenie, weryfikacja to nie cenzura, a przyznanie się instytucji do błędu nie jest aktem słabości, lecz reinwestycją w utracone zaufanie.

Bez tej fundamentalnej cnoty spór osuwa się w nihilizm, gdzie wszystko ma rzekomo drugie dno, przez co ostatecznie nie można dotknąć żadnego. Tymczasem cała cywilizacja liberalna opiera się na prostej, gatunkowej sztuczce: zderzenie tezy z antytezą ma prowadzić do lepszej hipotezy, a nie do celniejszej inwektywy. Slogan „fakty nie są spiskami” oznacza więc jedno: nie etykietuj tezy jako „spiskowej” tylko dlatego, że burzy twoją starannie ułożoną opowieść o świecie. Zasada jest prosta, choć jej stosowanie bywa bolesne. Trzeba bowiem polubić korygowanie samego siebie.

Konstytucja USA: zapora przed tyranią większości

Zamykamy listę, wracając do jej początku. Jeśli pierwsza prawda mówiła o źródle praw, to ostatnia opisuje mechanizm ich ochrony. Konstytucja jest antymajorytarna nie z powodu braku zaufania do ludzi, ale dlatego, że doskonale zna historię ich zbiorowych nastrojów. To urządzenie zaprojektowane, by powstrzymać większość, gdy ta zechce zawłaszczyć to, co nienaruszalne. W ostatnich latach ten mechanizm został gruntownie naoliwiony: sądy ukróciły zbyt swobodne interpretacje agencji i przywróciły suwerenność literze prawa. Czy to spowalnia spektakl polityczny? Owszem. Czy to się opłaca? Zawsze, kiedy stawką jest wolność. „Konstytucja to instrukcja obsługi państwa”, powtarza Ramaswamy, i trudno o lepsze motto na czas, gdy wszyscy chcą rządzić szybciej, niż pozwala na to procedura.

Jeśli ktoś spyta, czy to nie jest program „konserwatyzmu sądowego posuniętego do granic możliwości”, odpowiedź brzmi: to remont generalny, a nie lifting. Państwo, które na nowo rozróżnia władzę stanowienia prawa od władzy jego wykonywania, przypomina sobie, po co w ogóle ma hamulce. W długiej perspektywie bowiem te właśnie hamulce wygrywają wyścig z politycznym popędem.

Patronat vs wolność: spór o charakter narodu

Najciekawsza część programu wcale nie dotyczy jednak sporów moralnych, lecz mapowania przyszłej ekonomii władzy. W obrębie ruchu „America First” ścierają się dziś bowiem dwie poważne szkoły myślenia.

Pierwsza, którą można nazwać Patronatem Narodowym, jest z ducha protekcjonistyczna i inżynierska. Jej credo to mniej handlu, wysokie taryfy odwetowe, świadome subsydia dla gałęzi uznanych za strategiczne, a także celowe „przekierowanie" aparatu regulacyjnego, by służył krajowym producentom i płacom. To wizja państwa jako aktywnego gracza, który ręcznie steruje gospodarką.

Druga szkoła, „Wolność Narodowa", również chce długoterminowego „odpięcia od Chin" w sektorach krytycznych, ale nie przez gospodarczą autarkię. Receptą ma być zacieśniony handel z sojusznikami, takimi jak Japonia, Korea Południowa, Indie czy Filipiny. W tej wizji państwo ma mniej „wynajdywać regulatora na nowo", a bardziej demontować zbędną biurokrację, wyznaczać czerwone linie bezpieczeństwa i oddać resztę pola rynkowi. Nawet krytycy Ramaswamy'ego dostrzegają, że jego „narodowy libertarianizm" to próba podmiany instynktu protekcjonistycznego na instynkt deregulacyjny, przy zachowaniu twardej polityki wobec Pekinu. To spór realny, a nie akademicki. Chodzi o to, kto i jak poniesie koszty przejścia: budżet, konsumenci czy korporacje.

Dziesięć prawd: retoryka skutecznej perswazji

To, że „dziesięć prawd" żyje, zawdzięczają one nie tylko swojej treści, lecz także precyzyjnemu rzemiosłu perswazji. Edward Bernays, brutalnie szczery pionier public relations, przypominał, że ten, kto rozumie zbiorowe mechanizmy i motywy, rządzi opinią publiczną. Robert Cialdini rozłożył ten proces na czynniki pierwsze, ucząc, że reguły wpływu – wzajemność, konsekwencja, społeczny dowód słuszności, lubienie, autorytet i niedostępność – działają, ponieważ są skrótami myślowymi naszego umysłu. Polityka, która świadomie nimi gra, nie przestaje być polityką, lecz staje się skuteczna. George Lakoff uzupełnił to o ramy moralne, tłumacząc, dlaczego lewica i prawica mówią obok siebie, uwięzione w metaforach „rodziny opiekuńczej" i „rodziny surowej". Jonathan Haidt zidentyfikował filary moralne, takie jak troska, sprawiedliwość, lojalność, autorytet, świętość i wolność, pokazując, że konserwatyści zwykle korzystają z pełniejszego repertuaru niż progresywiści, grający głównie na dwóch pierwszych. Wreszcie Daniel Kahneman i Amos Tversky przypomnieli, że nasz szybki umysł kocha heurystyki, a wolny męczy się analizą; dobra komunikacja podaje więc systemowi szybkiemu proste klucze, zostawiając wolnemu otwarte drzwi do sali z argumentami.

W poprzek tej całej opowieści Marshall McLuhan rzucił zdanie, które dziś brzmi jak proroctwo: „medium jest przekazem". W epoce smartfona to nie figura retoryczna, to fizyka odbioru – przekaz, który nie mieści się w kadrze telefonu, praktycznie nie istnieje. Walter Lippmann przestrzegał przed „pseudorzeczywistością" tworzoną przez wiadomości i stereotypy, które mają „krótkość komendy i autorytet faktu". Noam Chomsky, choć nielubiany przez prawicę, trzeźwo opisał „produkowanie zgody" przez media, z czego płynie prosta lekcja: jeśli nie zaproponujesz własnych ram narracyjnych, zostaniesz statystą w cudzym spektaklu. Jacques

Ellul dopowiedział, że propaganda to nie tylko kłamstwo, ale też „napęd społeczny" nowoczesności, w której każdy jest jednocześnie nadawcą i odbiorcą. Pierre Bourdieu sprowadził rozważania na grunt pragmatyczny, przypominając, że pole mediów ma własną logikę interesów, a symboliczny kapitał przelicza się na ratingi i kliknięcia. Z kolei Vance Packard z reporterską złośliwością punktował „ukrytych nakłaniaczy", którzy opakowują wpływ w przyjemne, łatwe do przełknięcia formy.

Ta intelektualna biblioteka nie jest ozdobą. To ona tłumaczy, dlaczego hasła takie jak „We stand for truth", „Facts aren't conspiracies" czy „The Constitution is our operating manual" działają jak kod, który rezonuje zarówno z wyznawcami, jak i z zewnętrznymi obserwatorami. Dobry slogan to nie po prostu zgrabne zdanie; to klucz, który otwiera właściwą, starannie przygotowaną szufladę w pamięci zbiorowej. To precyzyjna anatomia sloganu w działaniu.

„Wolność słowa nie jest po to, by bronić rzeczy popularnych, bo to, co popularne, nie potrzebuje obrony" – to reporterska wersja mądrości, która w amerykańskiej tradycji pobrzmiewa echem sędziego Olivera Wendella Holmesa i jego koncepcji „rynku idei". „Naród to codzienny plebiscyt" – te słowa Ernesta Renana, choć nie był on Amerykaninem, doskonale opisują to, co Ramaswamy nazywa lojalnością: akt woli podtrzymywany każdego dnia. „Ludzie myślą opowieściami, nie faktami" – tym

Deregulacja: impuls dla rozwoju innowacji

Budowanie polityki klimatycznej na bon motach to intelektualne lenistwo. Jeśli konserwatywny etos ma być oparty na prawdzie, to w debacie o klimacie musi posługiwać się językiem zarządzania ryzykiem portfela państwa. Jak liczyć koszty zjawisk ekstremalnych, jak wyceniać adaptację i jakie są krańcowe koszty redukcji emisji? Bez odpowiedzi na te pytania stracimy zarówno kompetencje, jak i młode pokolenie. Podobnie w kwestii „dwóch płci" – sam fakt biologiczny nie zwalnia z obowiązku projektowania dobrych procedur ochrony mniejszości czy sensownych reguł w sporcie i systemie penitencjarnym. Jednak najmniej sporne, a zarazem najbardziej doniosłe, pozostaje równanie instytucjonalne: przebudowa państwa regulacyjnego. Nawet lewicowe redakcje przyznają, że wyroki w sprawach Loper Bright czy Jarkesy'ego mają charakter tektoniczny i trwale zmienią układ sił między agencjami a sądami. To właśnie tutaj, a nie w jałowych sporach kulturowych, rozegra się gospodarczy los nadchodzącej dekady.

Decoupling: nowa architektura globalnego handlu

Spór o te hasła nie jest bowiem walką o detale, lecz o architekturę nowego Bretton Woods. Inteligentne rozplątanie więzów gospodarczych z Chinami przebuduje globalne łańcuchy dostaw farmaceutyków i elektroniki, a tym samym wzmocni bezpieczeństwo zdrowotne i technologiczne całego Zachodu. Co więcej,

prawna korekta działania amerykańskich agencji przesunie globalny środek ciężkości innowacji. Gdy te instytucje będą potrzebowały jaśniejszego mandatu, albo Kongres zostanie zmuszony do pisania precyzyjniejszych ustaw, albo to rynek przejmie inicjatywę. Każde z tych rozwiązań na nowo definiuje reguły gry, i to daleko poza granicami Ameryki.

> W świecie, gdzie prawda stała się towarem deficytowym, a prostota wypowiedzi budzi podejrzenia, powrót do fundamentalnych zasad może być zarówno strategią polityczną, jak i wołaniem o autentyczność. Czy jednak w pogoni za prawdą nie zgubimy subtelności, a w dążeniu do prostoty – złożoności świata? A może właśnie w tej prostocie tkwi klucz do odzyskania zaufania i odbudowy wspólnoty, która zapomniała o swoich korzeniach.

Inspiracje

[1] **"Truths. The Future of America First"** Vivek Ramaswamy

Literatura uzupełniająca

Książki

Literatura pokrewna (Google Scholar):



[1] **"Woke, Inc.: Inside Corporate America's Social Justice Scam"**

Vivek Ramaswamy

2021 | Center Street | ISBN: 9781546059820



[2] **"Crippled America: How to Make America Great Again"**

Donald Trump

2015 | Threshold Editions | ISBN: 9781501137969



[3] **"The Chevron Doctrine: Its Rise and Fall, and the Future of the Administrative State"**

Thomas Merrill

2022 | Harvard University Press | ISBN: 9780674276383

APA ONE Publishing System
Fundacja Dobre Państwo © 2026
Article ID: 4975b16b-0c0a-49ba-80c6-7d84080ec3dc